

— A gdybym ja tak zrobiła, jak ty myślisz, to ty zapomnisz o mnie? — zapytała Terenia...

— Ach Boże! ja ślepy na całe życie, o czemuż moge rozmyślać, jak nie o twojej dobroci i litości?! Gdzieżbym cię mógł zapomnieć? — odpowiedział cicho pytającej.

— No to kochałbyś mię zawsze i innej byś nie wziął?

— Zawsze, aż do śmierci i tylko ty jedna w mem sercu zostaniesz! — dodał wzruszonym głosem.

Dziewczyna otarła oczy z łez, twarz jej się rozjaśniła, jakby na nią padł blask słoneczny i zawołała radosna:

— Tak? i to ja miałabym cię opuścić? Za kogo innego wyjść? To ty byś biedny siedział gdzieś w kącie izby całymi dniami i tygodniami i zagryzać się — a ja miałabym się bawić i śmiać? Jasiu! jak ty mogłeś o czemś takim pomyśleć?! Gdyby to był kto inny, tobym się śmiertelnie pogniewała. Czy ty myślisz, że ja nie mam serca? Tyś mię kochał poczeiwie, bo to czułam, kiedyś miał twoje dobre czarne oczy, to ja cię teraz kochać chcę i będę, choć niemi mnie nie widzisz. I nie mi już o tem nie wspominaj, bo inaczej nie będzie, a przecież nie chcesz, żebym się przez ciebie gryzła.

Rozrzewniony tą serdeczną przemową Jasiiek, ścisnął i tulił w swoim reku ciepłą dłoń ukochanej dziewczyny, aż wreszcie wybuchnął:

— Tereniu, tyś naprawdę jest aniołem na ziemi! naprawdę ty jedna możesz mi pomóc przeboleć to, co z woli Boga straciłem — niech ci Bóg zapłaci! Ale, ale to nie może być...

— Jakto? co nie może być? — odparła dziewczyna. — A ty może myślisz, że tak zostanie i nie pójdę za nikogo? Aha, akurat! Właśnie jeszcze przed zimą wyjdę zamaż i to doskonale, a wesele będzie takie, że aż ha!

— Wyjdiesz zamaż? — odezwał się Jasiiek. — Daj ci Boże! i niech ci Pan Jezus da takiego męża, żeby cię na rękach nosił, brś tego warta! Ale kogóż też masz upatrzonego we wsi?

— Jaśku! czyż ty zwariował?! — krzyknęła, aż się rozległo, dziewczyna. — Ty się pytasz za kogo? Przecież tylko za ciebie!

— Boże, Boże! za mnie ślepego?

— Ależ tak, tak — za ciebie, któryby chciał mieć sześć oczu, żeby mnie mógł kochać, ze mną pracować i żyć!

— O, ja chyba umrę z radości... Tereniu, czy to prawda? o dobra, słodka moja, ukochana dziewczyno! Żebym ja to mógł ci życiem mojem odplacić! — wołał w uniesieniu kaleka, a lzy rzewne towarzyszyły jego słowom.

— A cóż to tak wielkiego, — przerwała dziewczyna. — A gdybym ja tak nieszczęściem oślepla, to byś mnie biedną zostawił? No, gadaj mi zaraz!

— Nie, ukochana! To samo bym zrobił, co ty chcesz zrobić.

— A widzisz! Więc już ani słowa więcej. Oto tu wobec Boga na nas patrzącego i aniołów nieba, masz moją rękę, zanim ją zwiąże stulą nasz Dobrodziej przy ołtarzu.

Tego już było za wiele dla biednego kaleki. Z radości i wzruszenia, jakby wyczerpany z sił, osunął się na ziemię u nóg Tereni i przepełnionem wdzięcznością sercem zaczął całować jej rękę, dopóki dziewczyna mu ich nie wyrwała.

— Dajże spokój, Jasiu — zawołała niemniej od niego wzruszona — Wiem, że nasi starzy na to się zgodzą, a Bóg i Matka Najświętsza z nieba błogosławić nam będą. O, ja ci pokażę, co potrafi serce i silna wola. Nie będzie nam niczego brakowało. Będę cię uczciwie kochać, jak ty mnie, aż do śmierci. Będziemy się pocieszać i pomagać sobie i naszym starszkom i opiekować się nimi i Antosiem, że nam będzie razem miło i dobrze. Oj, oj... — dodała, rozglądając się wokół — aleśmy się zagadali, a tu już się ciemno robi. Musimy jeszcze dojść do jednego